

Ewa Wójciak, dyrektor
poznańskiego Teatru
Ósmego Dnia, zasłynęła
językiem rodem z szaletu,
komentując wybór nowego
papieża FOT. BEATA ZIEMOWSKA/AGENCJA GAZETA

JĘZYK I CELEBRYCI

Wolność brudnego słowa

Najczęściej inwektywami obrzucani są politycy, instytucje i sportowcy.
Ścisła czołówka to ZUS, Kaczyński, Tusk i Robert Lewandowski

W mojej rodzinie osoba ze starszego pokolenia lubi wspominać, że za jej dzieciństwa, a było to na początku lat 30., dzieci z sąsiedztwa w warszawskiej kamienicy nie chciały bawić się z pewnym chłopcem, ponieważ używał on brzydkiego słowa. Cóż to było za słowo? Współczesna dzieciarnia, operująca na podwórkach i boiskach słowami na wszystkie ryzykowne litery alfabetu, umarłaby chyba ze śmiechu. Przedwojennego chłopca ze świata rówieśników wykluczyło bowiem zwykłe słowo na „d”, dzisiaj niemal wzór językowej niewinności.

Inny świat, inne czasy, a i towarzystwo też całkiem inne. Obecnie nie wykluczają z niego nawet najbardziej prymitywne i ordynarne zachowania oraz słownictwo. Nie wyklucza także brzydki kontekst. I żebyż tylko to! W obronie osoby, która dramatycznie uchybiła dobrym obyczajom językowym, i nie tylko językowym, staje 200 osób ze świata kultury i nauki, z pełną powagą, jakby nie dostrzegały, w jak wątpliwą sprawę się angażują. Odbывается to wszystko pod wielkim hasłem wolności słowa – bardzo, jak widać, pojemnym. Kto wie, czy nie jest to całej sprawy aspekt najsmutniejszy?

Tymczasem w świecie zachodnim, w którym nikt nikomu nie musi udowadniać przywiązania do demokracji i swobód, w tym do wolności słowa, na niestosowne wybryki językowe wcale nie patrzy się przez palce. Bo, oczywiście, takie ostre wyrazy również tam mają miejsce, zwłaszcza w wykonaniu sportowców i ludzi show-biznesu, którzy albo chcą szokować i tą drogą o sobie przypomnieć, albo też po prostu inaczej nie potrafią. Rzecz w tym, że zakończenie na ogół bywa inne: nie krucza obrona, lecz przeprosiny, jeśli nie ze strony winowajców, to ich przełożonych.

W RYNSZTOKU

Sprawa, o której mowa, była ostatnio bardzo głośna. Dotyczy Ewy Wójciak, dyrektorki poznańskiego Teatru Ósmego Dnia, która na swoim profilu na Facebooku tak skomentowała rezultat konklawe: „No i wybrali ch...”, który donosił wojskowemu na lewicujących księżu”. Czy, jak wielu uważa, obraziła tym samym papieża Franciszka? Nie sądzę – bo czy prostactwo może dotknąć kogoś, kto się do niego nie zniża? Pytania dotyczą innej płaszczyzny: obyczajów w życiu publicznym, dziwnego pojmowania wolności słowa, pytania, czego należy wymagać od ludzi kultury. Pomińmy bowiem ludzi polityki, na czele z Januszem

Palikotem, który w roli mistrza obscenów skutecznie przetańcił drogę, a przy okazji – jak widać nie przypadkiem – zyskał uznanie pani Wójciak. Zresztą z wzajemnością.

Prezydent Poznania ukarał Ewę Wójciak naganą (Teatr Ósmego Dnia to placówka utrzymywana przez miasto), a ona się od tej decyzji odwołała. Z przyczyn prawnych nie było podobno możliwe, by – jak domagała się rada miejska – została zwolniona ze stanowiska dyrektora. Sprawa nie została jeszcze zamknięta.

Ewa Wójciak, uchybiając obyczajności, zasłużyła na zwolnienie. Instytucją kulturalną nie może bowiem kierować osoba pozbawiona kultury, tak jak trudno powierzyć pijakowi szefowanie izbie wytrzeźwień, a analfabecie – kierowanie szkołą

Ewa Wójciak nie jest pierwszą osobą, która nie stroni od rynsztokowych wyrazów. Słowo, jakiego użyła wobec papieża, od pewnego czasu stało się wręcz znakiem rozpoznawczym Zbigniewa Hołdysa. Siega on po nie bez żenady, rzecz jasna – wobec tych, których bardzo nie lubi. A że nie lubi na przykład Jarosława Kaczyńskiego, przed trzema laty, podczas kampanii przed wyborami prezydenckimi, nazwał go „ponurym średniowiecznym ch...”. Wówczas jeszcze, trzeba powiedzieć, szok był niemały.

Cóż z tego, że wielu ludzi przyjęło ten wybryk z niesmakiem? Dla innych stał się nieledwie przejściem Rubikonu. A więc tak można? Można publicznie użyć języka właściwego dla dołów społecznych i nadal mieć status gwiazdy, być gościem telewizji, dyskutować z premierem? Żadnego ostracyzmu, niepodawania ręki? Hołdys poprzeczkę ustawił tak wysoko, że „zwykłe” niecenzuralne wyrazy zupełnie zbłądły i straciły na wymowie. Kto dziś na nie zważa? I strumień się rozlewa. Bo nie chodzi tylko o słowa, także o skojarzenia i o brak wszelkich zahamowań.

Oboje – Ewa Wójciak i Hołdys – swej niechęci dali upust na Facebooku. Portale społecznościowe to media lekkie, łatwe i przyjemne w użyciu, a w dodatku zawsze można utrzymywać, że wypowiedź miała charakter prywatny. Jest to jednak, jak się okazuje, przeświadczenie złudne. Portale to raczej sfera półpubliczna i to, co zostaje tam powiedziane, rozchodzi się bardzo szybko. Tak też się stało i w tym przypadku.

Na dziennikarskim portalu Studio Opinii, w tekście pt. „Licencja na chamstwo”, tak pisał Ernest Skalski (warto tę opinię odnotować nie tylko z uwagi na treść, ale także miejsce, w którym się ukazała, bo inni tamtejsi autorzy raczej się nad Ewą Wójciak użalają): „Jest ona osobą dorosłą, pełniącą funkcję publiczną – dyrektora teatru, dotowanego przez miasto. Prywatnie, w ograniczonym kręgu, może wypowiadać wszystko, co ten krąg jest w stanie stolerować. Wszakże kodeks wykroczeń – »Art. 141. Kto w miejscu publicznym umieszcza nieprzystojne ogłoszenie, napis lub rysunek albo używa słów nieprzystojnych, podlega karze ograniczenia wolności, grzywny do 1500 złotych albo karze nagany« – nie pozwala naruszać obyczajności publicznej, a w tym wypowiadać słów powszechnie uważanych za obraźliwe”.

Ewa Wójciak, zdaniem autora, uchybiając obyczajności, zasłużyła na zwolnienie. Instytucją kulturalną nie może bowiem kierować osoba pozbawiona kultury, tak jak trudno powierzyć pijakowi szefowanie izbie wytrzeźwień, a analfabecie – kierowanie szkołą.

Badania Internetu prowadzą, niestety, do wniosku, że korzystanie z portali i dobre maniery rzadko chodzą ze sobą w parze. Tak jest wszędzie.

Rezultaty badań, które – według portalu „Huffington Post” – przed dwoma laty przeprowadził Reppler (serwis analizujący treść mediów społecznościowych), nie są budujące. Analiza wybranych stron Facebooka wykazała, że wulgaryzmy zawiera aż 47 proc. z nich! Dominują, w formie podstawowej i formach pochodnych, wyrazy na „p...”, „g...” i „k...” (w przekładzie na polski).

NAJGORZEJ NA TWITTERZE

A u nas? Opublikowany na początku kwietnia raport „Chamstwo w Internecie”, wspólne dzieło autorów ze strony Antyweb i serwisu Brand24, przyniósł rezultaty ani odrobinę nie lepsze. Wśród prawie 180 tys. analizowanych wzmianek, które zamieszczono w sieci w grudniu 2012 r., aż 74 tys. zawierało wulgarne słowa. „72 proc. tych wulgaryzmów – podsumowują autorzy – wygenerowały strony społecznościowe. Ludzie nie krępują się używać niecenzuralnych określeń, nawet jeśli piszą pod własnym nazwiskiem”. Najczęściej – precyzują – inwektywami obrzucani są politycy, instytucje i sportowcy. Ścisła czołówka to ZUS, Kaczyński, Tusk i Robert Lewandowski. Co ciekawe, wśród portali prym wiedzie Twitter: pochodziło z niego aż 64 tys. obscenicznych treści.

Z Twittera właśnie skorzystał amerykański aktor Jason Biggs, znany przede wszystkim z serii filmów „American Pie”, 45

■ by podczas ubiegłorocznej kampanii przed wyborami prezydenckimi w USA dać upust swej niechęci do kandydatów republikańskich. Ścisłej: do ich żon – Ann Romney i Janny Ryan, które w sposób nie do powtórzenia w mediach publicznych opisywał na Facebooku. Wpisy zostały później usunięte, aktor jednak nie tylko nie wyraził skruchy, ale także kategorycznie, w formie wcale nie mniej wulgarnej, odmówił złożenia przeprosin. Uczyniło to jednak za niego kierownictwo kanału telewizyjnego Nickelodeon, w żywej trosce o perspektywy nowej serii filmów o żółtuchach ninja, którą zaczęto nadawać

alarm, gdy jest to potrzebne, i wprost wskazuje palcem tych, którzy uchylają standardom, to jest właściwie bezsilna. Chociaż nikt nie kwestionuje jej ustaleń, nawet szefowie największych mediów elektronicznych – zarówno BBC, czyli nadawcy publicznego, jak i prywatnej telewizji ITV – od dawna przyznawali MediaWatch rację, obiecując poprawę. Michael Grade, który szefował kolejno obu tym stacjom, parę lat temu na łamach dziennika „The Daily Telegraph” otwarcie przyznał, że „słowa na f... używa się bez umiaru, nie zważając na uczucia tych, bardzo licznych, widzów i słuchaczy, którzy nie chcą takich wyrazów słuchać”.

Amerykański aktor Jason Biggs na Facebooku obrażał żony kandydatów w ostatnich wyborach prezydenckich w USA. Jego komentarze nie nadają się do powtarzania w mediach FOT. ZUMA PRESS/FORUM



jesienią ubiegłego roku i w której Biggs jest głosem Leonarda.

Ta sprawa dostarcza jednak znakomitego przykładu, co w takich sytuacjach może zdziałać opinia publiczna w powiązaniu z groźbą przejścia do działania. Nickelodeon znalazł się pod presją między innymi stowarzyszeń rodziców, które domagały się, by zerwano współpracę z Biggsem. Jakoś nie słychać było, by w aż nadto demokratycznej Ameryce ktokolwiek stanął w obronie aktora i jego prymitywnych wypowiedzi, szermując argumentem wolności słowa.

KUCHARZE JAK SZEWCY

Media także nie są bez winy. Brytyjska organizacja MediaWatch, która monitoruje i zwalcza pojawianie się w mediach niewłaściwych treści – od wulgaryzmów do pornografii i propagowania przemocy – już jakiś czas temu z żalem przyznała, że choć zwraca uwagę na pojawiające się problemy, podnosi

Właśnie „The Daily Telegraph”, który jesienią 2008 r. rozpoczął akcję „Vulgar Britain”, by zwalczać wulgaryzmy w mediach elektronicznych, stwierdził, monitorując media, że w niektórych programach telewizyjnych niecenzuralne słowa padają częściej niż raz na minutę. Okazało się, że najgorzej klną w swych programach Gordon Ramsay i Jamie Oliver, dwaj autorzy programów kulinarnych. Ale i inni nie pozostają w tyle.

Są też jednak niespodzianki. Czy można dać wiarę Eminemowi, który jakiś czas temu w rozmowie z CNN zapewniał, że wulgaryzmami epatuje tylko na scenie, nigdy w domu? Słynny raper ma trzy córki i przyrodniego brata, dla którego jest opiekunem prawnym, i – jak mówi – nie może dopuścić do tego, by w domu odzywano się do siebie niewłaściwie. On sam tego nie robi i dzieciom też nie pozwala. „Gdybym chodził po domu, mówiąc: Podnieś to, k... – jak by to wyglądało? Jak jest się rodzicem, to trzeba być rodzicem”. Również dlatego

Eminem nie zastanawia się, jaki wpływ mogą mieć na młodych ludzi przekleństwa podczas występów, bo przecież, jak zauważył, „to ich rodzice powinni o tym myśleć”.

NORMA SZALETU

Obronców Ewy Wójciak użycie przez nią superwulgarного słowa w ogóle nie zaprzęta. A zatem – można sądzić – wolność słowa, tak jak ją rozumieją, obejmuje swobodę używania wyrazów najgorszych. Nie ma znaczenia, jakich, jak, kiedy, do kogo i o czym. Choć to właśnie powinno mieć znaczenie, zwłaszcza dla ludzi, którzy – co sami podkreślają na wstępie swego listu – reprezentują świat kultury i nauki. Coś jednak przeoczyli – nikt przecież nie ograniczył Ewie Wójciak swobody wypowiedzi. Mogła, i miała prawo, napisać, że nowy papież jej się nie podoba. To, że nad rzeczowe uwagi przedkłada „język szaletów miejskich” – jak go określił Marek Nowakowski – to kwestia wyboru, który najwięcej mówi o niej samej.

Czy wszystko to razem wzięte oznacza, że wulgaryzmy wrastają w życie, stając się powoli normą językową? Doktor Katarzyna Kłosińska z Uniwersytetu Warszawskiego w rozmowie z radiową Jedynką zwróciła niegdyś uwagę na karierę przymiotnika „zaj...sty”. Rzeczywiście, jego fatalna proveniencja dla wielu już się wyraźnie zatarła. Do tych, którzy w tym słowie znajdują upodobanie, zalicza się piosenkarka Kayah. Komplementowała ona niegdyś opolską publiczność, wołając ze sceny: „Jesteście zaj...ści!”. Ten mało wybredny przejaw uznania nie każdego wówczas ucieszył.

Norma z całą pewnością się zmienia. Kto w Polsce wie, że wyraz „kobieta”, zwyczajny i powszechny, kilkadziesiąt lat temu miał odcień obraźliwy i nieprzyzwoity zarazem? Jednakże argument części językoznawców, według których ludzie nie stronią od wulgarności, bo tkwi w nich „potrzeba silniejszej ekspresji”, brzmi jak eufemizm, i to mocno naciągany. Zmienia się bowiem także mentalność.

William B. Bradshaw, amerykański lingwista i stały autor portalu „Huffington Post”, wspomina, jak bardzo zaszokowało Amerykę słowo „damn” (do diabła!), jakie padło z ekranu w „Przeminęło z wiatrem” – bo tak się wówczas publicznie nie mówiło. Fakt, że obsceniczny język jest dziś w natarciu, ma jego zdaniem wiele przyczyn, również takich jak nienależyte wykształcenie i nieznajomość słów, które adekwatnie opisywałyby rzeczywistość. Bradshaw widzi więc proste remedium – pracę nad wzbogaceniem własnego słownika.

Piękny pomysł. Gdybyż tylko dało się przekonać tych, według których świat da się opisać w paru dosadnych słowach... Więcej przecież wcale nie potrzeba. •